NUMER 22. DNIA 1-go CZERWCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

W kwestji patrjotyzmu i nacjonalizmu.

W Nr. 249. „Słowa Polskiego“, w „Tygodniku literackim i artystycznym“, znajduje się notatka o ostatnim numerze „Krytyki“, w której większy ustęp poświęcony jest memu artykułowi, zamieszczonemu w tem piśmie p. t. „Patrjotyzm i nacjonalizm“.

Autor wzmiankowanej notatki niezupełnie dokładnie określił moje poglądy, zadając mi zapytania, na które sam znalazłby łatwo odpowiedź w moim artykule.

Określając patrjotyzm, jako dążenie wolnościowe, połączone zwykle z ideami demokratycznemi — twierdziłem jednocześnie, że walczył on z uciskiem narodowym, dążąc do wywalczenia już to niepodległości narodów podbitych, już to uzyskania dla nich instytucji autonomicznych.

Z powyższego poglądu wynika więc, że walki z niemczeniem w zaborze pruskim i z rusyfikacją w rosyjskim nie mogłem oczywiście zaliczać do szkodliwego nacjonalizmu.

Natomiast jest nim mojem zdaniem ślepy antysemityzm, nie poprzestający na domaganiu się od żydów by uważali się za Polaków, działali zgodnie z interesami kraju, lecz jeszcze, aby przejęli się duchem polskim bez bliższego i ścisłego sformułowania pojęć: „duch polski“, „myślenie polskie“.

Pod nacjonalizm podciągam także nagonkę na Rusinów. Wprawdzie autor notatki w „Słowie Polskiem“ twierdzi, że nacjonaliści nie sprzeciwiają się narodowym dążeniom Rusinów, to jednak nie jest zgodnem z prawdą.

Ciągłe dowodzenie, że nie należy Rusinom robić ustępstw, otwierać gimnazjów, uniwersytetu i t. p. jest zwalczaniem dążeń narodowych Rusinów. Tego bynajmniej nie wymaga dbałość o ludność polską w Galicji Wschodniej, którą Polacy, w większym niż dzisiaj stopniu, okazywać powinni.

Zakładajmy szkoły dla Polaków, ale głosujmy i za otwieraniem szkół rusińskich.

Nacjonalizmem jest przesadne pojęcie o wyższości narodowości polskiej, pod względem duchowym nad innemi wysoko nawet cywilizowanemi, przejawiające się w „Idei polskiej“ Szczepanowskiego, a szczególnie w elokubracjach Lutosławskiego i ich zwolenników.

Nacjonalizmem jest bezowocna dążność do stworzenia jakiejś specjalnej filozofji.

Nacjonalizmem jest lekceważenie prądów społecznych, powstałych wprawdzie na obcym gruncie, ale żywotnych dla całych warstw naszego narodu.

Nacjonalizmem jest wreszcie popieranie dążeń konserwatywnych w imię ich swojskości przez ludzi niby postępowych.

Autor notatki zarzuca mi, że moje zwalczanie nacjonalizmu jest przedwczesne, gdyż dziś jeszcze żyjemy dorobkiem Zachodu i jesteśmy mało, albo wcale nie oryginalni w sztuce i nauce. Na to odpowiem, że życie myślą zachodu jest to wynik poprzedniej epoki, w której nie głoszono haseł nacjonalistycznych.

Te ostatnie są produktem u nas względnie nowym.

Zresztą jeżeli jesteśmy obecnie mało oryginalni, to nie mamy powodu martwić się tem za bardzo. Powinniśmy raczej przyswajać sobie pomysły obce, ale cenne, aniżeli wytwarzać rzeczy niby swojskie, lecz mgliste, mistyczne, nie mające większej wartości naukowej lub artystycznej.

Młodzi nacjonaliści, w powyższem znaczeniu mniej są obeznani z prądami myśli ogólno-ludzkiej, z dążnościami do wyższych form życia społecznego, aniżeli dawne pokolenie wychowane w tradycjach patrjotyzmu i wyszkolone przez pozytywizm.

Młody nacjonalista odrzuca dziś „kierunki nie polskie“, wiedząc o nich bardzo mało, przez co zacieśnia swój widnokręg umysłowy i staje się mniej wrażliwym na wielkie zagadnienia ogólno-ludzkie społeczne, naukowe i filozoficzne.

Niezawodnie każdy naród ma pewne cechy psychiczne, przejawiające się w jego dziejach, sztuce i t. p., jednakże nieuchwytne, tak, że trudno na ich podstawie budować programy polityczne, osądzać jedne, a zachwalać inne kierunki umysłowe.

Anglicy, Francuzi, Niemcy i inni są względnie oryginalni nie dlatego, że uczeni ich i artyści stawiali sobie zadanie stworzenia nauki narodowej lub sztuki. Najpierw były u tych narodów przejawy samorzutne, a potem uświadamiano je sobie. I nasze przebłyski sztuki narodowej nie są wynikiem teorji nacjonalistycznych.

Te ostatnie nie zrobią nas oryginalnymi, ale wprowadzą tylko mglistość w sferze umysłowej, zamiłowanie do każdej rzeczy „swojskiej“ bez względu na jej wartość, w polityce zaś wytworzą kierunki jednostronne, szowinistyczne, które wyjdą tylko na korzyść żywiołom wstecznym.

Ludwik Kulczycki.

HENRYK KLEIST.

Trzęsienie ziemi w Chili*).

(Z niemieckiego.)

Kiedy się zbudzili, słońce stało już wysoko na horyzoncie. W pobliżu spostrzegli kilka rodzin zajętych przyrządzaniem sobie małego śniadania przy ogniu. Kiedy Hieronim właśnie przemyśliwał nad tem, jakby dla swoich dostać pożywienie, przystąpił do Józefy pewien młody człowiek, dostatnio ubrany, z dzieckiem na rękach, i spytał się skromnie, czyby nie zechciała na krótki czas dać piersi temu biednemu robaczkowi, którego matka leży tam pod drzewami ciężko zraniona? Poznawszy w nim znajomego, Józefa była nieco zakłopotana, on zaś fałszywie tłumacząc sobie to zakłopotanie, mówił dalej: „To tylko na kilka chwil, Donno Józefo, to dziecko nie posiliło się niczem od tej chwili, która nas wszystkich unieszczęśliwiła.“ Odpowiedziała mu tedy: Milczałam z innego powodu, Don Fernando: wszakże w tych strasznych czasach nikt się nie zawaha podzielić się z drugim, tem, co ma, i oddawszy Filipka ojcu, wzięła obce niemowlę i podała mu piersi. Don Fernando dziękował serdecznie za tę dobroć, a potem zaprosił oboje, aby się udali z nim do tego towarzystwa, które właśnie teraz przy ogniu przygotowuje sobie małe śniadanie. Józefa odrzekła, że z chęcią przyjęłaby to zaproszenie, a ponieważ Hieronim nic przeciwko temu nie miał, więc udali się razem do owej rodziny, w gronie której znajdowały się dwie szwagrowe don Fernanda, znane Józefie jako zacne młode damy. Powitały ją bardzo serdecznie i tkliwie. Donna Elwira, małżonka don Fernanda, która mając ciężko zranione nogi leżała na ziemi, widząc swojego

zbiedzonego chłopaka u piersi Józefy, przyjaźnie zniewoliła ją usiąść przy sobie; także teść Elwiry don Pedro który był zraniony w plecy, skinął życzliwie głową w stronę Józefy.

Wobec takich dowodów ufności i dobroci w piersi Hieronima i Józefy wstąpiły dziwne uczucia. Nie wiedzieli teraz, co mają myśleć o przeszłości, o placu egzekucji, o więzieniu i o dzwonach; a może to wszystko im się tylko śniło? Zdawało się, że wszystkie serca przejednane zostały od czasu tego straszliwego ciosu, który je dotknął, i nie mogły sięgnąć dalej pamięcią. Tylko donna Elżbieta która była poprzedniego dnia zaproszoną przez swoją przyjaciółkę na widowisko stracenia, lecz zaproszenia nie przyjęła, patrzała teraz od czasu do czasu z rozmarzeniem na Józefę, lecz coraz to nowe wieści o strasznych wypadkach wczorajszych cofnęły znowu jej duszę do teraźniejszości. Opowiadano, jak zaraz po pierwszem trzęsieniu ziemi, mnóstwo kobiet w oczach mężczyzn powiło dzieci: jak wśród tłumu biegali mnisi z krucyfiksami, krzycząc, że to koniec świata; jak straży, która z rozkazu wicekróla chciała rozpędzić ludzi zebranych w pewnym kościele, odpowiedziano, że już niema wicekróla Chili; jak wicekról w najkrytyczniejszej chwili musiał rozkazać, by postawiono szubienicę dla zapobieżenia grabieżom; i jak kogoś niewinnego, który tylnemi drzwiami ratował się ucieczką z palącego się domu, pochwycił właściciel domu w pośpiechu i oddał go zaraz na stracenie. Donna Elwira której Józefa opatrywała rany, w chwili kiedy właśnie opowiadania najbardziej się krzyżowały, rzuciła jej zapytanie, co też się z nią działo owego dnia strasznego. Józefa trwożnie dała jej krótkie wyjaśnienie i wówczas z cichą radością ujrzała łzy współczucia w oczach Elwiry, która uścisnęła ją za rękę i dała znak milczenia. Józefie zdawało się, że jest w niebie. Jakiś głos wewnętrzny w niej, którego stłumić nie mogła, nazywał poprzedni dzień tak fatalny dla świata — dobrodziejstwem, jakiego Bóg jeszcze dotychczas nie wyświadczył ludziom. I w istocie w tej okropnej dobie, w której wszystkie dobra ziemskie człowieka ginęły i niemal cała przyroda opuszczała go, tylko duch ludzki zdawał się rozkwitać jak piękny kwiat. Jak daleko okiem było zasięgnąć, widziano ludzi ze wszystkich stanów zmięszanych ze sobą. Książęta i żebracy, matrony i chłopki, urzędnicy i najemnicy, zakonnicy i zakonnice — wszyscy żałowali siebie wzajemnie, nieśli sobie ulgę, dzielili się chętnie tem, co sobie uratowali z najniezbędniejszych potrzeb, tak jak gdyby ta ogólna katastrofa ze wszystkich, którzy jej uniknęli, uczyniła jedną rodzinę. Zamiast płaskich plotek, które zwykle uprawiano przy herbatkach, opowiadano teraz o wielkich czynach; ludzie, których dotychczas w towarzystwach lekceważono, okazali odwagę Rzymian; a mnóstwo było przykładów nieustraszoności, radosnego wzgardzenia niebezpieczeństwem, nagłej decyzji poświęcenia swego życia, jak gdyby ono, niby pospolita rzecz, miało być zaraz potem za chwilę odzyskane. A ponieważ nikogo nie było, dla któregoby w tym dniu nie spełniono jakiegoś szlachetnego czynu lub któryby sam się nie okazał bohaterem, więc też boleść w piersiach wszystkich ludzi tak się mięszała ze słodką rozkoszą, że się nie dało ocenić, czy suma ogólnego dobra nie zyskała z jednej strony tyle, ile z drugiej strony ucierpiała. Takim myślom oddali się w milczeniu Hieronim i Józefa, poczem on wziął ją pod ramię i swobodnie i wesoło spacerowali sobie pod cienistemi gałęziami lasku. Hieronim oświadczył, że wobec takiego usposobienia umysłów i wywrotu wszystkich stosunków porzuca swój plan wyjazdu do Europy, że będzie próbował prosić na kolanach o łaskę wicekróla, który dla jego sprawy był zawsze dość życzliwym, — jeżeli tylko wicekról żyje; i że ma nadzieję (tu wycisnął pocałunek na jej ustach) pozostać razem z nią w Chili. Józefa odrzekła, że taki sam był tok i jej myśli; że jeżeli jej ojciec jest jeszcze przy życiu, to i ona nie wątpi, że go przebłaga, że jednak zamiast padać do nóg wicekrólowi, wolałaby udać się do la Conception i stamtąd listownie starać się u wicekróla o ułaskawienie, tak ażeby w każdym razie być blisko portu, gdyby zaś sprawa pomyślny obrót przybrała, można będzie łatwo wnet wrócić do St. Jago. Po krótkiej rozwadze zgodził się Hieronim na ten roztropny projekt, spacerował z nią jeszcze trochę po ścieżkach, przebiegając fantazją szczęśliwe chwile przyszłego życia; w końcu zaś powrócili oboje do towarzystwa.

Tymczasem minęło już południe, ponieważ trzęsienia ziemi ustały, umysły wylękłych mieszkańców miasta uspokoiły już nieco. Wtedy rozeszła się wieść, że w kościele Dominikanów, jedynym, który trzęsienie ziemi oszczędziło, odprawią sami prałaci klasztorni uroczystą mszę, aby błagać niebiosa o oddalenie dalszych nieszczęść. Ze

wszystkich też stron ruszał się lud i napływał do miasta. W towarzystwie, które się skupiło dokoła don Fernanda, powstało także pytanie, czy ma się wziąć udział w nabożeństwie i przyłączyć do ogólnego pochodu. Donna Elżbieta przypominała z pewnem wahaniem, jakie to nieszczęście zdarzyło się wczoraj w kościele; mówiła, że przecież takie dziękczynne uroczystości będą się powtarzać, więc potem kiedy już niebezpieczeństwo minie będzie się można z tem większą swobodą i spokojem oddać uczuciom wdzięczności. Lecz Józefa, zerwawszy się z zapałem, odparła, że jeszcze nigdy nigdy nie odczuwała potrzeby rzucenia się w proch obliczem przed Stwórcą, jak teraz, kiedy Jego potęga objawia się w tak niepojęty i wzniosły sposób. Donna Elwira z żywością oświadczyła się za zdaniem Józefy, i nalegała na to, żeby mszy wysłuchać. Don Fernando miał poprowadzić towarzystwo, które też zaraz powstało ze swych miejsc nie wyłączając Donny Elżbiety. Wśród ciężkich westchnień zbierała się Donna Elżbieta do pochodu, a gdy na pytanie, co jej dolega, odpowiedziała że ma jakieś smutne przeczucie, donna Elwira uspokajała ją i prosiła zostać przy niej i przy jej chorym ojcu. Józefa rzekła: w takim razie może pani donno Elżbieto, weźmie z rąk moich tego miłego malca, który jak Pani widzi znowu się do mnie dostał. Bardzo chętnie, odrzekła donna Elżbieta i chciała wziąć chłopaka, który jednak rozżalony tem pokrzywdzeniem począł krzyczeć i wzbraniać się gwałtownie, tak że w końcu Józefa z uśmiechem zatrzymała go i uspokoiła całusami. Don Fernando, któremu wytworność i wdzięk bardzo się podobał podał jej ramię, Hieronim niosąc małego Filipka na rękach prowadził donnę Konstancję, reszta towarzystwa postępowała za nimi. Zaledwie uszli 50 kroków, gdy w tem donna Elżbieta po cichej ale żywej rozmowie z donną Elwirą zawołała: „Don Fernando!“ i podążyła za nimi niespokojnym krokiem. Don Fernando stanął i odwrócił się, nie puszczając ramienia Józefy, a gdy ujrzał, że Elżbieta w pewnem oddaleniu stanęła, jakby oczekując na niego, zapytał, o co idzie. Donna Elżbieta z widoczną niechęcią i wahaniem przystąpiła doń bliżej i w sekrecie przed Józefą szepnęła mu kilka słów do ucha. „No — spytał don Fernando — i jakież nieszczęście z tego wyniknie?“ Donna Elżbieta, mieniąc się na twarzy, perswadowała mu coś dalej szeptem, lecz don Fernando zarumieniwszy się odparł: „dobrze już, dobrze, niech się donna Elwira uspokoi!“ I poszli dalej.

Gdy przybyli do kościoła Dominikanów, już organy rozbrzmiewały wspaniale a ogromna izba ludu wypełniła dom Boży. Tłum ludzi stał także przed bramą i na placu okalającym kościół, a nawet na ścianach kościoła, chwytając się ram obrazów, zawiśli chłopcy i z pełnym oczekiwania wzrokiem trzymali czapki w rękach. Ze wszystkich świeczników biło światło, filary przy zapadającym zmierzchu rzucały tajemnicze cienie, wielka róża z kolorowego szkła w samej głębi kościoła błyszczała niemal jak to zachodzące słońce, które ją oświetlało, a gdy organy umilkły, zapanowała nad całym tłumem uroczysta cisza, jakby nikt nie miał głosu w piersiach. Nigdy może jeszcze w żadnym kościele chrześcijańskim nie wzbijał się ku niebu płomień takiego nabożeństwa, jak dziś w katedrze Dominikanów w St. Jago, a żadna ludzka pierś nie tchnęła żarliwiej, niż Hieronima i Józefy!

(Dok. nast.)

Wszechideał.

(Dokończenie).

Wychodząc z założenia, że doświadczenia etyczne i estetyczne mogą tak samo jak wszelkie inne doświadczenia być przedmiotem naukowej analizy, rozpoczyna Holzapfel według wymagań naukowej metody swe badania nad etyką od ogólnego, zasadniczego pojęcia etyki czyli postępowania etycznego.

Pojęcie to wyprowadza Holzapfel w ten sposób, że przedstawia pojęciowe pierwiastki, z których onο powstało. Zanim więc przystępuje do

właściwej analizy etyki, wyświetla on jej genezę, rozpoczynając od wartościowania wogóle.

Z analizy tej wynika, że zachowanie się etyczne (ethikalisches Verhalten) jest wartościowaniem jakiegoś chcenia, pragnienia itp. lub celu jakiegoś chcenia ze względu na egoizm lub altruizm.

Tak egoistyczne, jak i altruistyczne postępowanie może być odczute jako etyczne. Kryterjum na to, że coś jest przedmiotem wartościowania ze stanowiska etycznego, a nie ze stanowiska użyteczności, estetyki itp. — zawiera się li tylko w samych motywach wartościowania; wszelkie zaś doszukiwanie się dowodów na etyczność lub nieetyczność w jakichś objektywnych własnościach pewnych faktów grzeszy przeciwko prawom rzeczywistości.

Znalazłszy ogólne pojęcie wszelkiego etycznego postępowania, bada Holzapfel stopniowe wytwarzanie się sumienia w ludzkiej jednostce.

Sumienie, — to szereg ocen etycznych, głęboko wkorzenionych, ugruntowanych i ustalonych w jednostce przez ćwiczenie; objawia się ono w formie towarzyskiego stosunku jednostki ludzkiej do siebie samej. Ponieważ istnieją rozmaite oceny etyczne, zależnie od tego, czy kto czyjeś postępowanie wartościuje ze stanowiska egoistycznego, czy ze stanowiska altruistycznego (dodatnio lub ujemnie), — przeto wytwarzają się różnego rodzaju sumienia. Każda jednostka znajduje w swem otoczeniu pewne stałe oceny etyczne, pewną konkretną etykę, a zatem pewne ogólnie rozpowszechnione sumienie. Zazwyczaj podlega ona tak silnie wpływowi otoczenia, że przyswaja sobie jego oceny etyczne i sumienie. Czasem, choć nader rzadko zdarza się fakt, że jednostka uniezależnia się od orjentacyj i ocen swego otoczenia i zamiast, jak to często bywa, — po okresie wahań i wątpliwości, wrócić do uświęconych zwyczajem tradycyj, — zrywa pęta starej moralności i stwarza sobie nowe, własne etyczne orjentacje.

Do zmiany orjentacyj etycznych i sumienia, przyczynić się może zmiana pojęć o egoizmie i altruizmie, jak też o ich znaczeniu dla rozwoju, bezpieczeństwa i uczuć (przyjemnych lub bolesnych), własnych lub innych ludzkich jednostek.

Im większy rozwój jednostki, tem częściej wnioskuje ona według socjalnej analogji o myślach i uczuciach wielu innych jednostek, tem częściej doznaje ona z tego powodu intenzywnych uczuć, tem bardziej staje się (w dodatniem lub ujemnem znaczeniu) altruistyczną. Różnice w zapatrywaniu i postępowaniu etycznem polegają na odmiennem zastosowaniu altruizmu lub egoizmu.

Ponieważ Holzapfel, bada znaczenie altruizmu lub egoizmu dla r o z w o j u, czy to jednostki, czy całej ludzkości, więc określa on najogólniejszy schemat rozwoju czyli formę, w którejby się wszystkie poszczególne odmiany rozwoju w zupełności zawierały.

Wszyscy ludzie różnią się między sobą rozwojem: tak stopniem, jak i kierunkami rozwoju (kinetycznego i potencjalnego). Prócz tego może każda jednostka w jednym kierunku być więcej, a w innym mniej rozwiniętą. Zachodzą więc różnice inter i intraindywidualne*).

Cały rozwój ludzkości — to szeregi równoczesnych i po sobie następujących zmian, składających się na skalę niezliczonej ilości inter i intraindywidualnych różnic rozwojowych. Mówiąc o rozwoju ludzkości, ma Holzapfel ciągle na myśli wszelkie konieczne, rozmaicie ustopniowane różnice rozwojowe, które są ściśle związane z pojęciem rozwoju. Tak pojętej skali różnic rozwojowych odpowiada analogicznie pomyślana skala różnic w degeneracji. Niekiedy łączy się rozwój w jednym kierunku z degeneracją częściową, lub zupełną w innym kierunku. Dzieje się to taksamo w obrębie życia jednostki, jak i całej społeczności.

Jeśli kto za cel swego dodatniego altruizmu, ma jaknajdoskonalszy, w powyższy sposób określony rozwój ludzkości, to pochwali tylko takie postępowanie jako etyczne, które sprzyjać będzie temu rozwojowi. Etyka ta wymagać będzie zastosowania tak egoizmu, jak i altruizmu (ujemnego lub dodatniego) zależnie od tego, czy w pewnych okolicznościach egoizm, czy zaś altruizm (sympatja, miłość albo antypatja, nienawiść), przyczynić się może do jak najdoskonalszego rozwoju ludzkości. Wyznawca tej etyki jest więc moralnie zmuszony, wciąż mieć przed oczyma ideał rozwoju ludzkości, wciąż myśleć o najważniejszych zagadnieniach świata i rozwijać się umysłowo, aby mógł jak najlepiej sprostać wymogom swej etyki i ustrzedz się od bolesnych wyrzutów sumienia.

Jednym z kierunków ogólnego rozwoju ludzkości jest rozwój estetyczny, a więc i twórczość,

*) Różnice między poszczególnymi jednostkami i różnice rozwojowe np. rozmaitych władz w różnych okresach życia jednej i tejsamej jednostki.

mająca na celu wywoływanie tz. wrażeń estetycznych.

Holzapfel wywodzi ocenę estetyczną od wartościowania jakiegoś przedmiotu ze stanowiska uczuciowego tz. ze względu na to, czy przedmiot ten wywołuje uczucia przyjemne, czy przykre. W ten sposób opiera on kwestję estetycznych wrażeń odrazu na gruncie empirycznym.

Każdy przedmiot może na kogoś podziałać estetycznie; dzieło sztuki zaś, tem się różni od innych przedmiotów, wywołujących wrażenie estetyczne, że zostało na to stworzone, aby wzbudzało jak najintenzywniejsze uczucia uduchowionej rozkoszy. Dzieło artystyczne osiąga cel ten tylko wówczas, jeśli treść jego i przygotowanie czytelnika, widza lub słuchacza, odpowiadają sobie nawzajem. Bez względu na to, jakie wrażenie dzieła artystyczne w nas wywołują, mogą się one zbliżać do największej możliwej doskonałości lub od niej oddalać. Holzapfel opisuje w ,,sztuce“ warunki zbliżania się dzieł artystycznych do ,,maximum“ doskonałości.

Tworzenie artystyczne jest tylko odmianą wszelkiego ludzkiego tworzenia wogóle i podlega tym samym prawom, co ono. Podstawowemi prawami ludzkiego tworzenia są: inkluzja, ekskluzja, i komplementacja.

Wszelkie tworzenie polega na celowem, świadomem przekształceniu (Variiren) pewnych przedmiotów, istniejących w rzeczywistości.

Każdy przedmiot, choćby uległ jakimkolwiekbądź zmianom, zachowuje niezmiennie niektóre swoje cechy. Zmiana polega na tem, że niektóre części przedmiotu, pozostają nietknięte, inne zaś wyłącza się, zastępując je odmiennymi, do całości dostosowanymi szczegółami. Chcąc np. z materjału surowego zbudować kamienicę, musimy mu wiele z jego własności odjąć i na podstawie pewnego planu przekształcić tz. nadać mu cechy, których on przedtem nie posiadał. Kamienica powstaje więc przez inkluzję surowego materjału, ekskluzję pewnych jego cech (ociosywanie cegieł itp.) i komplementację całego szeregu nowych szczegółów i właściwości, które z luźnej masy, różnego materjału, czynią kompleks nowy: kamienicę.

Te same prawa stosują się także do tworzenia artystycznego. Sposób zastosowania inkluzji, ekskluzji i komplementacji decyduje o wartości każdego dzieła artystycznego.

Fakt inkluzji zachodzi przy każdem tworzeniu artystycznem, już przez to, że środki i przedmiot artystycznego przetwarzania wzięte są przynajmniej po części z istniejącej już rzeczywistości. Chcąc podziałać estetycznie na jednostki wyższego rozwoju, może artysta uwzględnić tylko tyle z typowych cech rzeczywistości, ile ich temat koniecznie wymaga, aby wydał się w ogóle możliwym i wywoływał niezbędną dla estetycznego wrażenia ilość assocjacyj. Następnie musi artysta jaknajwięcej odmian indywidualnych, spotykanych w rzeczywistości, z dzieła swego wykluczyć, na ich miejsce zaś skonstruować nowe, oryginalne odmiany, któreby się we wszystkiem zgadzały z zasadniczemi cechami rzeczywistości. Albowiem oryginalność, czyli nowość skonstruowanych indywidualnych odmian, jest na pewnym stopniu rozwoju, jednym z niezbędnych warunków wrażenia estetycznego. Dzieło artystyczne zbliża się tembardziej do doskonałości, im więcej zawiera ogólnych cech rzeczywistości i im więcej indywidualnych odmian, spotkanych już w rzeczywistości zeń wykluczono, zastępując je innemi i oryginalnemi. Mimo to, nawet najdoskonalsze zastosowanie tych praw nie wyczerpuje warunków, zbliżania się do doskonałości artystycznej.

Można bowiem inkluzję, ekskluzję i komplementację zastosowywać do tematu, który już z natury nie może wywrzeć estetycznego wrażenia na jednostki o pewnem przygotowaniu. Jednostka ludzka, odbiera na pewnym stopniu rozwoju wrażenie estetyczne, tylko z przedstawienia takiego tematu, który wywołuje skomplikowane skojarzenia myślowe i uczuciowe. W pewnych jednostkach, tylko takie dzieło artystyczne wzbudza najwięcej skomplikowanych assocjacyj, żywych uczuć itd., — ktore przedstawia jak najwięcej skomplikowane fakty psychologiczne.

Do najważniejszych faktów psychologicznych, należy tworzenie artystyczne i naukowe. Przedstawienie jaknajdoskonalszego tworzenia — oto najdoskonalszy temat dla twórczości artystycznej, wymagający jak najdoskonalszego zastosowania inkluzji, ekskluzji i komplementacji. Takiemu zadaniu nie sprosta żaden z rodzajów sztuki prócz poezji.

Prócz sztuki (w ogólnem znaczeniu tego słowa) tz. sztuki właściwej, — istnieje sztuka tz. niewłaściwa (Uneigentliche Kunst). Rodzajami sztuki niewłaściwej są: np. ogrodnictwo, peda-

gogja (o ile tak nazwiemy sztukę wychowywania ludzkich jednostek). Najwyższym rodzajem sztuki niewłaściwej jest ten, który Holzapfel nazywa: „Menschheitskunst“.

Bezpośrednim materjałem tego rodzaju tworzenia artystycznągo jest ludzkość. Tworzenie takie zbliża się bardziej do doskonałości, niż wszelkie inne artystyczne tworzenie. Tylko ono może jednostkę o jaknajwiększym rozwoju etycznym, estetycznym i hygiopsychicznym, jak najwszechstronniej i jaknajpełniej zadowolnić.

Z etycznych i estetycznych orjentacyj, podanych w dziele Holzapfla wynika, że najdoskonalszym wszechideałem jest twórcze wpływanie na rozwój ludzkości, w celu artystycznym (Menschheitskünstlerische Variirung). Realizowanie tego wszechideału, wymaga najbardziej skomplikowanej twórczości.

Herman Münzer.

14)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

(Grec.) *Tylic,* deska — (saksoń.) *thielle* — (środ, gór. niem.) *Dille* — (niem.) *Diele* tarcica, *dyl* na szkielet namiotu używany — w dalszym ciągu sień i klepisko, a także miejsce gdzie się *„tli“* wieczny ogień.

Na początki rolnictwa i na formę omłotu zboża wskazuje wyraz *„tołoka“* (ukrain.) oznaczający dziś u Rusinów jesienną robotę wspólną przy ziarnie, a wiążący się z wyrazem *„tłoczyć“* *„tiłom tołoczyty“* to jest ciężarem ciała obłuskiwać zboże, jak to do dziś w Bułgarji i *w Besarabji* przy pomocy bydląt czynią — (patrz cytaty Szczepkowskiego: Pieszo z Odessy do Warszawy).

Grec. *stylos,* ostre szydło do szycia, pałeczka w ogóle przenosi nas do odmiennego nieco konara słownego, wyrażającego głównie wyobrażenie stania, — *Stylos* (grec.) pałeczka — (litew.) *stelbas* — (ros.) *stołb* — (pol.) *słup.* — Pień drzewny stojący nazywano *„stołb“* — (lit.) *stalis* — (sanskryt.) *sthulna stół* — w zdrobniałem znaczeniu *stołpen, stopień.*

Część zaś ciała *„stąpająca“* po *stopniu* to *„stopa“* — pień do obłuskiwania kaszy *stopą,* stępa. — Szczególnie wiele wyrazów obejmującym węzłem, jest zasób słów, których pierwiastkiem jest „stat', stać“, — Zaczepiają one o najprostszy materjalny obraz, jakim jest rozpinanie *tła* namiotu, na stojących drążkach i przenoszą się hen aż na budowę organizacji państwowej.

»*Stat', stać*“, — (starosłow.) *stoja* buda mieszkalna — (greckie) *„stoa“* hala słupowa lub komora zapasowa *(stodoła)* — skąd pochodne (grec.) *„stoi badzo“* gromadzić — (ros.) *stojak, stawka,* chata niewielka — (rumuń.) *statiwe,* warstat tkacki — (albańskie) *stan* koszara dla owiec, *stan, stanica, stajnia* — (łać.) *statio, stacja* — (grec.) *otasis* — (łaciń.) *status* stała budowa państwowa — (franc.) *l'etat* — (niem.) *staat* — (nowoperskie) *stan* w słowach: Guli*stan,* Beludży*stan,* Afghani*stan,* (sanskryt.) *stha, sthiti, sthana,* — (pruskie) *postat',* istnieć. — Dowodem obrazowego związku ustrojów stojących z drągiem w szkielecie namiotu jest szereg wyrazów. (rosyj.) *stożar,* kij w stogu — (pol.) *stożysko* — (środ. niem.) *Stange Stengel* drąg — (niem.) *steg i stock* kij — (islandzkie) *Stiah* kół.

Kół ten służył w okresie przejściowym ku więcej stalszemu osiedlenia, jako środek stogu siana. — Wskazuje to na względną wyższość cywilizacyjną naszych przodków od dzisiejszych Kirgizów, którzy siana nie gromadzą na zimę dziś jeszcze. *Stóg* siana, (greckie) *stegano* pokrycie ukrycie, zachowanie czegoś. — Wstępować na

szczyt *stogu* siana wiąże się brzmieniowo i obrazowo z-(niem) *steigen* wchodzić na górę, *stiege* schody -- (star. niem.) *stigen* — (greckie) *steichon* — (łać.) *vestigian* — (starosłow.) *stigniaty* — (pol.) *ścignąć.*

Również *„stojący“* obraz drągów, namiot podpierających dają wyrazy (sanskryt.) *stabh* podpierać — (medyjskie) *stabh* opierać się — (grec.) *astembys* mocny — (niem.) *stemmen* moc wyrażać, mocować się — (litew.) *stembi,* pień — (łot.) *stabs,* koł — (niem.) *stamm,* pień — *stab* laska — (greckie) *stobris,* mała laseczka, zdźbło.

Do czynności samej — budowania namiotu odnosi się w (ros.) *stroit'* — (łać.) *struvere* budować, *strues* kucza — (ukrain.) *sotworyt'* — (pol.) *stworzyć,* tworzyć. Podłogę tworzyć, sieczkę po niej rozpościerać wyrażają słowa (niem.) *streu* sieczka -- (litew.) *straja* podściółka — (łacin.) *sterno stratum,* rozpościerać, *stramentum,* poszycie słomą. — Ogromnie ze stanowiska dziejów kultury naszej interesującą jest grupa wyrazów bezpośrednio związana z wyobrażeniem rozpościerania czegoś na powierzchni ziemi. *Sterno, stratum, ścierń, rozpościerać, scierka i streu,* łączy się bowiem brzmieniowo i ze *„scierwem“* trupem zwierzęcia niepogrzebanego — (niem.) *sterben* umierać (star. niem.) *stirben* — (angiel.) *to stairwe,* zakończyć życie z niedostatku jako *scierwo* być *rozpostartym* i rostawionym.

Wiadomo że indyjscy dzisiejsi krewniacy europejskich Jndo-Germanów, Parsowie, czciciele ognia i wyznawcy Zendawesty wystawiają trupy ludzkie na pożarcie ptastwu, wilkom i innej dziczy czworonogiej. Obyczaj to na wskróś związany z pochodem na bezdrzewnym stepie, gdzie oranie i rolnictwo nie uczy jeszcze wżerać się w głąb ziemi, a brak lasu i materjału palnego nie pozwala trupa palić, bo ogień to rzecz droga i cenna.

Zresztą trup staje się tam uciążliwym, gdzie się prowadzi życie osiadłe, tam zaś gdzie się ludzie z miejsca na miejsce przenoszą, zostawia się trupa na stepie lub (płynąc na morzu) wrzuca się w wodę. — Zwyczaj taki przeszedł z czasem u Parsów do kultu religijnego. U „ludów wschodnio europejskich“, które według Herodota (Lib. IV. Cap. 125. 126) włóczyły się między „Persją“ ojczyzna Zendawesty a „Istrją“ w 5tym wieku przed Chrystusem, musiały się też ostać obyczaje „Indów przypominające“ jak to zauważył u Słowian Al Bekri podróżnik arabski z X stulecia. Rzeczywiście Wulfstan „niemiec“ który odbył podróż do brzegów pruskich w IX stuleciu opowiada o pewnym zwyczaju u Estończyków nawskróś postępowanie Parsów z umarłymi przypominającym, „Jest wśród Esthów zwyczaj, że gdy kto umrze, leży w domu niespalony przy swoich magach i przyjaciołach cały miesiąc, czasami nawet dwa, królowie i inni wielcy panowie o tyle dłużej o ile ich majętności są większe, czasami pół roku leżą niespaleni na ziemi w domach swoich...“ Natomiast groby grzebalne są jak to Karłowicz zauważył wyrazem mieszkań ziemiankowych i rozpoczynającej się rolniczej wytwórczości (Chata polska...)

W starożytnictwie zaś odnieść należy grzebanie trupów do kultury tubylczych chłopów palowych niegdyś, którzy poczęli przenosić się na suchszą ziemię.— Załatwić się jeszcze musimy z wiązką słów odnoszących się do pierwiastku *„tkać“.* — (franc.) *Tisser* — (tatarskie) *tokmak* — (węgier.) *takasz* — (łać.) *texere* tkać — (niem.) *tuch* sukno — (kirgiskie) *kothon* zbiorowiska namiotów — (pol.) *kotara* zasłona, kotara chata uboga. Wyrazy te wszystkie zbiorowo odnoszą się do *„tkania“* to jest czynienia *„tkaniny“* z sukna lub pilśni. Tatarzy do dziś wyrabiają pilśń w ten sposób, że na drąg nawijają ugniataną i nieustannie zwilżaną pilśń. Narzędziami sukienniczymi więc są ciężarek do ubijania i drąg *„tyka“* dość długa, na którą pilśń, owo najdoskonalsze pokrycie namiotu się nawija.

Stąd więc pokrycie namiotu pilśniowe udzieliło nazwy swojej młotowi, tyce, dachowi a nawet czasami całemu domostwu.

„Tyka, tknąć, zatkać, tkwić, tyczyć — (grec.) *tukos* młot — (litew.) *tektian* — (star. sakson.) *thigg-ja* — (łot.) *tektion* — (łać.) *tangere tactas* — (włos.) *toccare* — (niem.) *Dach* — (greckie) *tego, tegos* — (łać.) *techun, tegurium* wiejski dom — (irań.) *teg* dom. Mamy cały rodowód mieszkań, wywodzący się od pilśni będącej niegdyś na stepie pierwszym „dachem“.

(C. d. n.) *Kazimierz Mokłowski.*

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Siedziała tak raz, patrząc w okno szklistym wzrokiem. Powieki miała zaczerwienione i wypieki na bladej twarzy.

Berwicz zastukał, machinalnie powiedziała: „można“ i nie zauważyła otwarcia drzwi.

Drzewa, obwieszone szronem, szkliły się, błyszczały mirjadami iskier, pod skośnemi promieniami słońca, które podnosiło się, czerwone, ogromne i uderzało w szyby. Ale oczy kobiety nie widziały ani jodły ze spuszczonemi gałęziami, na których spoczywała warstwa śniegu, ani smukłych topoli, ani cienkich prątków akacji, które rysowały się na rozognionem niebie, jak srebrne filigrany; widziała tylko obrazy myśli. W jej źrenicach stał Ignaś.

Berwicz objął ją spojrzeniem. Nie potrzebował o nic pytać. Tych dwoje zżyło się z sobą tak bardzo, iż rozumieli się bez słów.

— Pani moja — zawołał zbliżając się do niej z ojcowską troskliwością — nie spałaś znowu?...

Oderwała wzrok od okna i spojrzała na Berwicza bez odpowiedzi.

On w oczach wyczytał jej mękę.

— To na nic — wyrzekł, jakby próbował ją gromić — Teresia rozchoruje się jeszcze i co będzie?

Milczała chwilę, wlepiając w niego beznadziejne spojrzenie.

Usta jej drgały jakby, gwałtem wstrzymywała słowa, które się z nich wyrwać chciały, aż wybuchnęła z rozpaczą.

— Berwisiu! dlaczego tak jest? Powiedz, dlaczego?

Berwicz popatrzał na nią przez chwilę, ale odpowiedź znalazł w swem prostem sercu, pełnem miłości i wiary.

— Nieszczęście! — wyrzekł — nieszczęście! Cóż, nie pierwsze i nie ostatnie! Ot, trzeba znosić, co Bóg zesłał. My tutaj nie winni.

— Czyż doprawdy nie winni? Ja pytam o to samej siebie całe dni i noce.

— Niechże Teresia nie grzeszy, — zawołał oburzony. — Strzegliśmy go, jak źrenicy oka, nauczali miłującem sercem, krwią dziada, przykładem ojca. Jeśli to nie starczyło, widać Bóg nie pobłogosławił. Chciał nas doświadczyć.

— Bóg nie pobłogosławił — powtórzyła kobieta ze łzami.

— Trudno — mówił dalej, poruszony, usiłując zapanować nad sobą. — Niechże Teresia nie płacze. Boże broń, nie choruje. Cokolwiek wypadnie, trzeba robić swoje, zawsze swoje. Reszta od nas nie zależy. Albo to raz nieszczęście zmoże człowieka, zda się, że już wszystko stracone. Ziemia się z pod stóp usuwa. Ale cóż? rąk opuszczać nie wolno. Teresia wie o tem dobrze. Trzeba robić swoje aż do śmierci. On tak rozkazywał.

Mówił to ze spokojną determinacją, choć ręce jego zaciskały się kurczowo i słowa te podziałały na kobietę.

— Masz słuszność — wyrzekła, podnosząc głowę. — Trzeba robić swoje. Tylko ciężko...

Co tam, ciężko! Jest i pociecha. A taka córka, jak Marynia, co?

Z dziwną delikatnością trafił na jedyne słowo, które mogło matkę pocieszyć. Nie próbował uniewinniać Ignasia, wiedział, że była to rzecz daremna. Zresztą należał do ludzi, co mają zawsze odwagę prawdzie spojrzeć w oczy. Pani Teresa była jego wychowanką.

— Marynia! — szepnęła, lubując się samym dźwiękiem imienia córki, jakby obraz jej miała przed oczyma i powtórzyła poraz drugi. — Marynia!

— Masz słuszność — wyrzekła po chwili — masz słuszność, jak zawsze. Bóg pobłogosławił mnie tem dzieckiem.

Pomyślała sobie, czemu nie pobłogosławił jej także Ignasiem, ale tego nie powiedziała i spytała po chwili milczenia:

— Miałeś mi coś do powiedzenia, Berwisiu?

— Ot, wyszło mi z głowy. O czem ja mogę pamiętać, kiedy widzę Teresię taką strapioną. Przyszedłem wedle tej dzierżawy dla Ignasia.

Podniosła głowę i słuchała.

— Przyjechał Szelewicz. Już on sobie rady nie da, sam to czuje, a chciałby się uiścić. To człowiek uczciwy.

— Widzisz, ja ci to zawsze mówiłam.

— Chciałby Urbicze wypuścić w dzierżawę.

— A gdzież on się podzieje? Ma żonę i dzieci — zawołała pani Teresa.

— Jemu trafia się miejsce do zarządu majątku, gdzieś daleko. Chciałby tylko tymczasem żonę i dzieci zostawić na urbickim folwarku — tam jest parę pokoików, dopóki się nie rozejrzy w nowej siedzibie. Ja zawsze mówiłem, że Urbicze to w sam raz dla Ignasia. Inaczej trzebaby mu oddać którą wieś. Ja wiem, on napiera się Borowca, Smug, Marszczyzny.

— Nie, tych mu nie oddam. Nie mogę zdać na jego ręce nic z tej ziemi, co należała do Brzeszcza. Ty wiesz, że tego nie mogę. Póki ja żyję, taki mój obowiązek. Co dalej... nie moja rzecz, ale przynajmniej ja na to patrzeć nie będę. Powiedziałeś sam, trzeba robić swoje, ja robić będę aż do śmierci.

— Wiem, mówiliśmy już o tem. Teresia ma słuszność! Alboż my wiemy, co on zrobiłby z tą ziemią, jaki przykład dawałby ludowi, który przywykł do czego innego. Trzeba mu wziąść te Urbicze... Zobaczymy... Może Bóg da, rzeczy obrócą się na lepsze... A wreszcie... wreszcie i w domu... No i w domu będzie spokojniej.

Mówił to wszystko z przerwami, szukając wyrazów, aby nie obrazić uczuć matki... patrzał jej w oczy badawczo, zanim ważył się na jakie zdanie.

Pani Teresa milczała przez chwilę.

— Masz słuszność — wyrzekła w końcu. — Obiecałam Ignasiowi, że będzie miał dom własny. Chociaż myślałam, że do tego nie przyjdzie. Ale tak dalej żyć nie sposób... Chociaż...

Zrobiła ręką ruch, świadczący o zniechęceniu ostatecznem. Rozumiała, że warunki pozornie tylko zmienić się mogą, bo z bliska zarówno, jak z daleka, syn pozostanie dla niej zawsze troską jednaką.

Berwicz stał przy niej zafrasowany, widząc wyraźnie w porannem słońcu zmiany, jakie przez ten rok ostatni w niej zaszły. Jasne włosy przetykały teraz gęste srebrne nici. W tej chwili uczuł po raz pierwszy, iż nienawidzi z całej duszy sprawcy jej zgryzot. Nienawiść ta wzbierała mu w piersi bezwiednie od owej wieści, która o mało nie zabiła pani Marskiej. Własnych przykrości nie pamiętał. Nigdy nawet nie zastanowił się nad niemi. Co tam on! Ale każde westchnienie, łza, niepokój pani Teresy, ale zmiana jej oblicza padały mu, jak kamień, na serce i obciążały syna, którego w myśli nazywał wyrodnym.

— Tylko czy Ignaś się zgodzi — spytała, powracając do sprawy, o której mówili.

— O! on wolałby Borowiec, ma na niego oko, najlepszy kęs naszego klucza.

— Borowca nie dostanie, chyba po mojej śmierci, gdyby inaczej być nie mogło.

— Czy ja mam mu o tych Urbiczach powiedzieć?

Pani Teresa spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Ty nie masz pojęcia, dodała ze skargą, rzadką u niej, — co ja czuję, gdy muszę z nim mówić, jak z obcym.

On uśmiechnął się gorzko, wiedział o tem dobrze. Co czuł sam, mniejsza. On przecież matką nie był... A teraz względem Ignasia miał tylko nienawiść i pogardę.

— Niechże Teresia będzie spokojna, już ja to zrobię. Tylko gdyby Ignaś odniósł się do ciebie, to proszę go do mnie odesłać.

— Ale ty go nie urazisz, Berwisiu? — mówiła z prośbą w głosie, podnosząc na niego swoje szczere, dobre oczy.

— Kiedy mówię, żeby Teresia była spokojna!

Odchodził już i wrócił od progu.

— Wiesz przecie, Urbicze bliziutko, tylko trzeba się za Dniepr przeprawić. Będziemy go mieli na oku.

Odchodził znowu i wrócił po raz drugi.

— Szelewicz chciał się z Terenią zobaczyć, ale ja powiem, że chora. Bo i chora doprawdy. Ja widzę, że całą noc nie spała. Ot, najlepiej położyłaby się i zasnęła teraz. Powiem Jadzieńce, niech pilnuje, żeby tu nikt nie wchodził, bo Marynię to tu i tam odwołają.

I wyszedł na palcach, zamykając drzwi ostrożnie, jakby pani Teresa już posłuchała rad jego.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Berwicz wybrał dla Ignasia siedzibę za Dnieprem, zwłaszcza też położoną w ten sposób, że od przewozu przyjeżdżało się do Maliniec ze strony przeciwnej cerkwi i popowszczyzny, bo chociaż nie przyszło mu na myśl, by groziło z tamtej strony jakie istotne niebezpieczeństwo, uważał, że sama rozmowa Ignasia z popadjanką, stanowiła zgorszenie i zapobiegał, by się nie powtórzyła.

Sprawa Urbicz ułożyła się łatwiej, niż sądzono. Jeżeli Ignaś ciężył Malińcom, Malińce były również dla Ignasia niemiłe. Pragnął własnego domu, a zrozumiał, że matka nic z puścizny Brzeszcza z ręki nie wypuści.

O wartość dzierżawy, nie troszczył się zbytecznie, bo wiedział, że gdyby mu nie starczyły dochody z Urbicz, znajdzie zawsze, jako przyszły dziedzic wielkiej fortuny, usłużnych, którzy za dobry procent, będą tę przyszłość chętnie eskontowali. Ta myśl sprawiała mu nawet rodzaj złośliwej uciechy.

Na nową siedzibę Ignaś miał się przenieść na Ś-ty Jerzy, według przyjętego zwyczaju. Przez czas, który dzielił go od dnia tego, zajęty był wybieraniem sprzętów, skupowaniem tych, których brakowało, godzeniem służby. Ale pomimo wszystko, co czyniła pani Teresa, pragnąc go zadowolnić, miał do niej żal ciężki. Nazywał ją w myśli despotyczną, niesprawiedliwą, skąpą, egzaltowaną i uważał ją za złą matkę, a siebie za ciężko pokrzywdzoną ofiarę i dawał jej to uczuć.

Atmosfera w Malińcach, stawała się coraz cięższą, z każdą chwilą trudniejszą do zniesienia. Łagodziła ją tylko obecność Witolda, który czując się potrzebny, co dzień prawie przyjeżdżał i swą równowagą, taktem, zażegnywał burze, wiszące w powietrzu.

Wszyscy byli mu wdzięczni za wpływ kojący, jaki rozpościerał w domu, pełnym smutku i rozterek. Aż wreszcie nadeszła chwila wyjazdu Ignasia. W prześliczne kwietniowe popołudnie, w którem czuć było tchnienie wiosny, powóz, ciągniony młodą czwórką kasztanów, których sierść mieniła się złotem, spowity tumanami kurzawy, ruszył kłusem z przed ganku. Pani Teresa, patrzała za nim tak smutnie, iż pomiędzy pozostałymi, nikt nie śmiał przerywać ciszy. A gdy powóz skręcił drogą koło ogrodu, powstała i poszła tam, skąd mogła go jeszcze zobaczyć, jakby pociągnięta magnetyczną siłą.

— Dobrze, że sobie pojechał! — zawołała Jadwinia.

— Nie mów tego, — wyrzekła siostra z łagodnym wyrzutem.

— Cóż z tego, że nie powiem, kiedy tak jest. I mama i ty i Berwiś, czujemy to wszyscy i pan także, — dodała, zwracając się do Witolda.

On milczał, zapatrzony w Marynię.

— Pan byłeś bardzo dobry dla nas, i dla niego w tych smutnych czasach, — wyrzekła.

W głosie jej dźwięczała słodycz, z którą dotąd nigdy jeszcze nie zwracała się do niego.

— Dobrym! — zawołał z wybuchem niezwykłym. — Starałem się być użytecznym i starać będę zawsze. Pani o tem najlepiej wiedzieć powinna.

Cień przesunął się po jej czole.

— Więc pan to czyni dla mnie? — spytała, patrząc badawczo — tylko dla mnie? Wiem, że mnie pan nie zbędzie czczą odpowiedzią, a tak pana cenię, że liczę na szczerość zupełną.

Była chwila milczenia.

— Dla pani naprzód, — odparł wreszcie, — ale nietylko dla pani. Pobudki działań ludzkich są zwykle składanej natury. Ja staram się moje rozwikłać, stanąć na równi zaufania, jakie mi pani okazała. Panno Marjo, każda szlachetna myśl, budzi sobie pokrewne, każde wyższe uczucie podnosi duchowy poziom, pani wie o tem dobrze i wie pani także, że jeśli jest we mnie cokolwiek dobrego, zawdzięczam to pani, tylko pani. Kiedym cię poznał, byłem niczem!

Mówił to spokojnie, z przekonaniem, jak p..wnik, nie ulegający wątpliwości żadnej.

— Więc cokolwiek padnie mi z twej ręki, przyjmę, przyjąć muszę, czy to będzie szczęście, czy nieszczęście życia. Moich uczuć nic nie zmieni, a pani je zna dobrze.

Chciała mu przerwać, zatrzymać słowa na ustach, ale on mówił dalej:

— Nie lękaj się pani, nie ma tu żadnej tajemnicy. Powiedziałbym to głośno przed całym światem. Wszak słowa moje obowiązują tylko mnie jednego. Wszak nie żądam odpowiedzi. A jakakolwiek byłaby, nie zmieni moich uczuć, ani mego przekonania. Pani i to wiesz także.

Zakryła oczy powiekami i milczała niezbadana, jakby nie mogła się zdobyć na żadne słowo.

W koło nich, unosiła się przejmująca woń fjołków, hjacyntów. Wśród młodej zieleni traw, wychylały się różowe główki stokrótek, żółtofioletowych bratków, białych pierwiosnków, drzewa owocowe zasypywały ziemię śniegiem swych płatków i rysowały się na błękicie nieba, obsypane kwieciem, jak zapowiedź owocnego lata. W powietrzu, niby gwiazdy złotawe, brzęcząc, przelatywały pszczoły, osy, całe roje wesołych owadów, ziemia cała dyszała blaskiem, powietrze drgało

od budzącego się życia, zewsząd odzywały się śpiewy ptaków, ryki bydła, na których tle odcinały się śpiewy i śmiechy, pracujących w rolach i ogrodach. Natura cała, zdawała się wzywać do życia, do szczęścia, do miłości. A oni wśród tego święta wiosny spoglądali na siebie posępnie. Słowa jego, pełne oddania, nie wywołały u niej nawet uśmiechu współczucia. Głęboka bruzda, rysowała się między jej brwiami, ściągniętemi bolesną myślą. A jednak gdy podniosła oczy, w spojrzeniu była miękkość, sprzeczająca się z tym surowym wyrazem.

A on powtórzył:

— Pani to wszystko wiesz? Prawda?

— Prawda, — odparła. — Więc dla czegoż pan mi to mówi?

— Przyszło mi na myśl, — odparł z prostotą, — że w ciężkiej chwili, każdy głos przyjazny może sprawić ulgę. Jeśli to zarozumiałość z mej strony, daruj mi pani. Sądziłem, iż masz dla mnie tyle chociaż przyjaźni, by mi dać to prawo. Czym się omylił?

— Oh! — odparła bez namysłu, — wierzę w pańską przyjaźń i wzajem mam ją dla pana. Ale nie żądaj więcej.

Wziął rękę, której mu nie broniła i poniósł do ust. A w tym ruchu było tyle rezygnacji, że Marynia zawołała:

— Panie Witoldzie! Tak być nie powinno. Pan dajesz mi stokroć więcej, niż ja dać mogę. Tyle innych odpłaciłoby ci całem sercem!

— Inne! Ale to nie byłabyś ty, panno Marjo. O inne nie dbam.

Słuchała go znowu z tym dziwnym wyrazem tkliwości i surowej powagi, którego znaczenia nie mógł zrozumieć, jak gdyby chciała, a nie mogła powiedzieć mu słowa nadziei.

Nastała chwila milczenia, ale wśród niego nie porozumiewały się ich serca.

— Gdybym mógł odgadnąć myśli pani! — zawołał, przerywając je nagle.

— Moje myśli — powtórzyła, podnosząc na niego oczy, w których nie było tajemnicy żadnej.

— Mam to uczucie, że pomiędzy mną a panią stoi jakaś niewidzialna zapora. I o nią rozbijają się nadzieje mego życia.

Zamyśliła się znowu długo, głęboko. Na przemian rumieniła się i bladła.

— Może masz pan słuszność, — wyrzekła wreszcie. — Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy... ale może tak jest.

— Panno Marjo! — zawołał z wybuchem, — bądź ze mną szczerą. Powiedz wszystko przez... — Zawahał się i zamiast słowa: litość, które miał na ustach, wyrzekł: — przez przyjaźń.

Po za mierzonemi wyrazami, drgała siła uczuć, którym gwałtem nakazywał milczenie.

— Powiedz pani, co stoi pomiędzy nami? A jeśli to w ludzkiej mocy, ja to usunę.

— Czy ja wiem? — odparła, porwana siłą jego miłości. Pytasz pan, a ja chciałabym odpowiedzieć szczerze.

— Więc mów, pani!

— Gdybym potrafiła, — mówiła z postanowieniem. — Ale cóż, ja tego dobrze nie umiem określić. To musi być przywidzenie. Są chwile, w których chciałabym wzajem wyciągnąć do pana rękę. Czuję, że znalazłabym wsparcie, wiarę, miłość... to wszystko, czego kobieta żądać może... I nagle wysuwają się jakieś mary, stają pomiędzy nami... moja ręka cofa się, opada... I widzę, że choć chcę, podać jej panu nie mogę. Nie sądź, proszę, że jestem niewdzięczną, że nie umiem ocenić...

Miała łzy w głosie i patrzała na niego, tak smutnemi oczyma, iż nie mógł powątpiewać o jej szczerości.

— Mary! jakie mary! — pochwycił.

Milczała.

— Panno Marjo! — nalegał, ośmielony, — teraz mam prawo żądać, byś powiedziała mi wszystko. Niech wiem przynajmniej, co stoi na mojej drodze. Jeśli mary tylko!... ja je zwalczę... przysięgam!

Wstrząsnęła głową z rodzajem zniechęcenia.

— Czy chciałabyś tego, Marjo!... Panno Marjo! Powiedz to tylko?

Stał przed nią, szczery, rozkochany, ogarniając ją wzrokiem pokornym i namiętnym razem. Wiedziała, czem była dla niego, rozumiała, że odpowiadał jej miarą swoją, że dla niej także chodziło o szczęście życia i nie mogła odmówić mu tego słowa, które równało się wyznaniu.

— Chciałabym, — wyrzekła głosem miękkim, niezwykłym w jej stanowczych ustach.

— Chciałabyś, — zawołał, — więc mogę śmiało wyzwać do walki świat cały, nietylko mary.

— Trudniej czasem zwalczyć mary, niż rzeczywistość...

— Nie — zawołał rozpromieniony — skoro zechcesz mi pani dopomódz!

— Cóż ja mogę przeciw przeszłości?...

— Więc idzie o moją przeszłość — zapytał z odcieniem dumy. Niemam w niej nic do ukrycia. Sądzisz pani może, iż ci przynoszę sponiewierane serce, że miłość moja jest liczmanem, wytartym w niejednych rękach. Gotów jestem opowiedzieć ci moje życie dzień po dniu...

Chciała przerwać mu odrazu, ale nie uczyniła tego, w głosie jego i słowach był czar, który ją przykuwał.

— Nie rozumiesz mnie pan — wyrzekła wreszcie oburzona na samą siebie, że tego wcześniej nie uczyniła. — Nie roszczę sobie żadnych praw do pańskiego serca. Wierzę w jego szczerość — to mi wystarcza...

— A więc?

Nie wiedziała, jak się wytłumaczyć, a on oczekiwał tłumaczenia. I to zmroziło ją nagle. Miękkie blaski zagasły w jej oczach.

— Boże! — zawołała — Pan mnie nie rozumiesz. Tak być nie powinno. My przecież musimy się rozumieć. Inaczej jakżebyśmy mogli razem iść przez życie.

W tych słowach dźwięczał żal, który pomimo chłodnego spojrzenia dodał mu otuchy. Przez chwilę patrzał na nią badawczo i nagle błysnęła mu prawda.

— Oo! — zawołał, uderzając się w czoło — wiem już. Jak Ignasiowi, nie możesz mi pani przebaczyć Warszawy i tej całej orgji podłości, w której uczestniczyłem na moje nieszczęście. Ależ...

— Wiem, wiem, — przerwała — wiem, żeś pan tu najmniej winny... Gdyby inaczej było...

— Nie może tu być mowy o przebaczeniu — mówiła dalej — takich rzeczy się nie przebacza. Wiesz pan o tem dobrze. Tylko ja o tem nie mogę zapomnieć. I nieraz, gdy mówimy o czem innem, nie wiedzieć skąd stajesz mi pan w myśli w otoczeniu... w takiem otoczeniu... Ściskasz im ręce, silisz się używać ich języka... i jeszcze w tych salonach, błyszczących od mundurów, orderów, szabel... na zamku naszych królów...

Zbladła, i jakby ten obraz zarysował się rzeczywiście przed jej oczyma, zakryła twarz rękoma, powtarzając bezwiednie.

— I pan wśród nich, pan! pan!

Witold był pognębiony.

Znowu ten świat nowy dla niego, odkrywał mu strony nieznane. Miłość kraju, była tutaj nie tylko przekonaniem i uczuciem, drgała w każdym nerwie, tętniała w każdej krwi kropli, była istotą samą i to właśnie czyniło ją niezwalczoną.

— Przebacz mi pan, wyrzekła wreszcie Marynia, jakby budząc się ze snu przykrego, to mimowolne a silniejsze odemnie. Mówiłam że to mary. Po cóż pan pytał?

— Powinienem je znać, odparł, podnosząc głowę, z determinacją sobie właściwą. — Powiedziałem pani, że je zwalczę. Gdybyś zobaczyła mnie wśród wrogów, nie jako gościa, ściskającego ich ręce, silącego się mówić ich językiem, ale jako ich ofiarę; nie w salonach królewskiego zamku, ale w murach więzienia. Czy wówczas nie znikłyby mary, ktore nas dzielą! Czy ten obraz by ich nie przysłonił?

Słuchając go, Marynia pobladła bardziej jeszcze.

— Przecież — zawołała — nie uczynisz pan daremnego szaleństwa?...

— Nie, daremnego szaleństwa nie uczynię. Nie mają prawa uczynić go ci, co rozumieją swoje obowiązki. Tylko spełnienie obowiązków może ten drugi obraz uczynić rzeczywistością. To rzecz wypadku, zręczności wroga czy niezręczności druha. To los, zawieszony nad głowami nas wszystkich. A wobec tego, czy nie zapomnisz o tamtym. Spróbuj pani?

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *St. Windakiewicz.* Teatr ludowy w dawnej Polsce przez... (Osobne odbicie z Rozpraw Wydziału filologicznego tomu XXXVI. Akademji Umiejętności w Krakowie.) Kraków. Nakładem Akademji Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej Polskiej. 1902. 8-ka lex. str. 2 nl. i 231.

Główną zasługę omawianej pracy stanowi ogromne bogactwo nagromadzonego w niej skrzętnie materjału. Będzie ona tem większa, jeśli zechcemy wziąć pod uwagę okoliczność, że przeważna część tego materjału ukryta była w rękopisach. Po za tem zebraniem dokumentów rękopiśmiennych należy podnieść jeszcze należyte ugrupowanie treści, oraz wykazanie kilkakrotne źródeł naszego dramatu średniowiecznego. Do stron ujemnych należy przedewszystkiem styl ciężki i oschły, jakkolwiek temat sam był tego rodzaju, że można było o nim pisać więcej zajmująco — bez najmniejszej szkody dla strony naukowej.

Nie wdając się w rozbiór szczegółowy tej pracy, bo wnet by nam miejsca zabrakło, pozwolimy sobie streścić główne momenta, o jakich ona traktuje. Teatr ludowy zaczął u nas działać równocześnie z jezuickim i zagranicznym już w XVI. wieku — powołując do życia dwie kompanje aktorów narodowych. Działalność jego rozpoczyna „Sąd Parysa“ z r. 1542, oraz kilka sztuk religijnych. Teatr ludowy nie rozróżniał dzisiejszych działów sztuki, tkwiąc silnie w obyczaju krajowym, bo wynikł on nie z teorji, lecz z obyczaju i to świadczy najlepiej o jego żywotności. Do dzisiaj jeszcze wspomnienia o tym teatrze żyją wśród ludu.

Objawy działalności teatru ludowego rozpatruje autor, trzymając się kościelnego kalendarza. Zaczyna tedy od misterjów na Boże Narodzenie i Trzech Króli, których posiadamy 17. Często w scenie pasterskiej osoby przemawiają gwarą ludową, a i imiona ich często są czysto ludowe n. p. Kuba, Klimek, Staszko i t. p. Dawne te misterja żyją do dzisiaj w żywej tradycji ludowej pod nazwą H e r o d ó w. Obejmują one scenę poszukiwania noclegu, jak w naszych misterjach z XVII. wieku, dalej scenę pasterską i audjencji Trzech Króli u Heroda i często bywają mięszane z reminiscencjami dawnych intermedjów karnawałowych. Tekstów mamy sporą ilość: z Podkarpacia, Powiśla małopolskiego aż po Lublin i z Mazowsza. Oprócz tego istnieją pośród ludu s z o p k i, wystawiające dwie sceny z Herodów, ale pomijające zupełnie scenę noclegu.

W dalszym ciągu przechodzimy z autorem do dewocji postnych o charakterze ściśle ascetycznym i do officjów wielkotygodniowych, które zachowały się w wielkiej ilości, gdyż tego rodzaju środki do popularyzowania rozmaitych idei kościelnych były wprost niezbędne. Dalszą grupę stanowią misterja wielkanocne, których mamy tylko cztery. Pamięć o nich zachowała się wśród ludu bardzo słaba, bo śladem znajomości sceny z Judaszem jest zwyczaj włóczenia bałwana Judaszowego po ulicach w Wielki Czwartek, który jest znany powszechnie po wsiach naszego Powiśla. Śladem zaś znajomości dawnej sceny złożenia do grobu jest stawianie rzeczywistej straży przy grobach, jak to się dziś często dzieje po wsiach i małych miasteczkach.

Zabawy i misterja na Wniebowstąpienie i Boże Ciało były u nas szeroko rozpowszechnione, tak samo też misterja o świętych n. p. o św. Janie Chrzcicielu, Kazimierzu i innych. Z tych wszystkich jedynie wspomnienie G r e g o ł ó w dotąd zachowało się w żywej pamięci ludu naszego.

Oprócz tych religijnych czysto sztuk, rozwinęła się u nas także tragedja ludowa, osnuta na tematach klasycznych, która po raz pierwszy zaczęła z grubsza zaznaczać wartość charakterów dramatycznych i stawiała sobie nieco głębsze zagadnienia moralne. Pominąwszy moralitety karnawałowe, przystępujemy do intermedjów, które powstały z rozwojem sceny ludowej dla urozmaicenia przedstawień poważnych. Z tych najbardziej popularne musiały być intermedja o lekarzach i cyrulikach, bo pamięć o nich przechowała się dotąd zarówno w „H e r o d a c h“, jak nie mniej w tekstach szopkowych. Cała praca kończy się krótkimi rozdziałami o błaznach, frantach, oraz o sztukach rybałtów. *St Zdziarski.*

*

Encyklopedja Staropolska. „Encyklopedji Staropolskiej ilustrowanej“ Z. Glogera tomu III. zeszyt 3-ci opuścił prasę.

Tak, jak poprzednie zeszyty, tak i obecny, zawiera liczny poczet bardzo interesujących artykułów. Wymienimy tylko najważniejsze z nich. I tak: artykuły „Król“ i „Królewszczyzna“ rozpoczynają ten zeszyt. Artykuł pierwszy może najwięcej budzi zajęcia przedstawieniem stosunku, jaki pomiędzy naszymi królami a społeczeństwem zachodził. Autor kreśli dzieje uszczuplania władzy królewskiej, w miarę tego jak Rzeczpospolita siłą samej ewolucji dziejowej coraz to więcej przywilejów zyskiwała. Królowie w późniejszych wiekach nie byli tem, czem ich widzimy naprzykład w wieku XIII. lub XIV. Powoli prawa ich ulegały ograniczeniu, tak, iż w kilka wieków później byli tylko pierwszymi reprezentantami Rzeczypospolitej, pierwszymi jej obywatelami, a nie absolutnymi jej władcami. Z artykułu o „Księgach wieczystych“ dowiadujemy się, iż one datują swój początek od wieku XV; z ducha ówczesnego ustawodawstwa ich znaczenie określającego jasno wypływa, iż były one bardzo blizkie pod wielu względami naszej dzisiejszej hypoteki. „O wojsku kwarcianem“ również dużo zajmujących, a nie wszystkim znanych znajdujemy szczegółów. Artykuły o „Lachach“ (lach), oraz o „Liberum veto“, jak również artykuł o „Lichwie“ wiele również podają wiadomości źródłowo opracowanych.

Z pośród dwudziestu przeszło rysunków, jakie zeszyt ten zdobią, najciekawszą jest podobizna odtworzona z pontyfikału Erazma Ciołka, przedstawiająca króla Aleksandra Jagiellończyka na tronie w katedrze krakowskiej 1501 r., w licznem otoczeniu dostojników Kościoła, rycerzy, uczonych i ludu.

*

Studentki, powieść współczesna przez Karolinę Słończewską. Jak wszystkie prawie obecnie powieści przeszła i niniejsza przez fejleton pism codziennych, zanim się okazała w osobnych dwu tomach. Fejletonowy sposób pisania, który tak wybitne na całej belletrystycznej literaturze piętno wyciska, znać i na „Studentkach“, szeregu scen żywych, bystrą powiązanych obserwacją w całość wcale udatną. Zwłaszcza te miejsca gdzie bujnym potokiem płynie życie genewskiej studenterji uważać należy za najpiękniejsze z całej powieściéci. Poczciwa tendencja narodowa styl, płynny i potoczysty sprawiają, że dwa niewielkie zresztą tomiki czyta się z zajęciem i ciekawością, aż do ostatniej stronnicy. Gdyby zaś już koniecznie ktoś chciał wynaleźć jakąś niekorzystną uwagę, to możnaby wspomnieć jedynie zamiłowanie autorki w kreśleniu ujemnych charakterów... kobiecych. *Fr. Jaw.*

PISMA. *Światowit*, rocznik poświęcony archeologji i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. Tom I-IV. 1899-1902. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

Począwszy od roku jeszcze 1882, w którym ukazał się w Warszawie ostatni rocznik „Wiadomości archeologicznych“, pozbawione było stale Królestwo polskie specjalnego wydawnictwa, w któremby można zogniskować prace naukowe z dziedziny tak mało u nas uprawianej, a znanej szczupłemu tylko kołu specjalistów. Nie można wprawdzie utrzymywać, iż w latach następnych nie ukazywały się u nas prace archeologiczne, boć przecież z jednej strony „Pamiętnik fizjograficzny“ warszawski, z drugiej znowu „Zbiór wiadomości do antropologji krajowej“, wydawany przez Akademję umiejętności krakowską, a nie mniej wreszcie pisma tygodniowe, zamieszczały rozprawy i badania oryginalne nad zabytkami pradziejowej kultury. Że taki atoli przytułek dla prac archeologicznych był wcale nie wystarczający, o tem chyba nie potrzeba wiele mówić. Przed czterema tedy laty założył p. Erazm Majewski, znany z niespożytej energji na polu badań archeologicznych, nowy organ, którego zadaniem jest gromadzenie nie tylko prac oryginalnych, ale także drobnych wiadomości o odkryciach i wykopaliskach, a nadto pouczanie szerokiego ogółu o wartości i znaczeniu doniosłem, jakie mają dla nauki zabytki przeddziejowe.

Brak miejsca nie pozwala na szczegółowe rozpatrzanie treści, aż nazbyt bogatej, jaką zawarły w sobie cztery pokaźne roczniki „Światowita“. Tem więc należy tłumaczyć sobie, dlaczego najogólniej pomówimy o tem cennem wydawnictwie. Każdy tom „Światowita“ rozpada się na dwa główne działy. Najprzód tedy zamieszczony jest szereg rozpraw oryginalnych, opisujących wykopaliska przeddziejowe z drobiazgową ścisłością. Ponieważ zaś, jak wiadomo, żaden opis nie może dać czytelnikowi dokładnego wyobrażenia, jak ten czy ów zabytek wygląda, przeto podano tutaj podobizny niemal wszystkich opisanych przedmiotów. Ogółem wziąwszy takich rycin było we wszystkich czteru rocznikach 583, oraz 47 tablic, co daje 1834 przedmiotów. Badań samodzielnych przyniosły te tomy 34, wyszłe z pod piór 15 autorów. Najwięcej jednak dał sam wydawca, bo aż 13. Że materjał został opracowany sumiennie, tego gwarancję dają nazwiska autorów doświadczonych jak: Bołsunowskiego, Glogera, Olechnowicza, Pułaskiego, Szukiewicza, Tarczyńskiego, Warzenieckiego. W tej samej części „Światowita“, w dziale zatytułowanym „Korespondencja“, przeznaczonym do krótkich wiadomości o odkryciach i spostrzeżeniach przygodnych i nieobowiązkowo fachowych, zamieszczonych zostało 22 przyczynków i luźnych komunikatów.

W części drugiej rocznika, przeznaczonej na omawianie ogólnych zagadnień z archeologji przeddziejowej, musimy treść, z natury swojej bardzo różnorodną, podzielić na cztery działy. W pierwszym z nich, mającym pomieścić ogólne artykuły większe (n. p. streszczenie dzieła Dra Lubera Niederlego „Ludzkość w dobie przedhistorycznej“), ukazało się prac 22. W dziale drugim, poświęconym ocenie dzieł z zakresu archeologji, zamieszczono ogółem recenzje prac 26 i trzech pism zbiorowych. W dziale trzecim znajdujemy 50 artykułów drobnych różnej treści, czwarty zaś mieści w sobie bardzo pracowicie i sumiennie ułożoną bibljografię tytułów prac, wydanych w różnych krajach w ostatniem pięcioleciu, Ogółem wziąwszy — cztery tomy „Światowita“ zawarły w sobie 40 prac większych, a z górą 100 drobnych.

Co się tyczy dalej kwestji, jakie części naszej ziemi zostały objęte poszukiwaniami w „Światowicie“, to najwięcej odkryć przypada na Królestwo Polskie, 2 na W. Księstwo Poznańskie, 7 na Galicję wschodnią. Pod względem ważności i liczby odkryć, oraz opisów — najwięcej dała gubernia kielecka, dalej wileńska, płocka, podolska i kowieńska, bo inne zaznaczyły się zaledwie drobnem odkryciem. Jeśli jednak zechcemy wziąć pod uwagę nie tak wielkie przestrzenie kraju, jak gubernje, ale drobniejsze, a zatem powiaty, to w takim razie wystąpi przed nasze oczy w całej jaskrawości niedostateczność sił naukowych w Królestwie Polskiem: z ogólnej cyfry 84 powiatów Królestwa — 62 nie przyniosło zgoła żadnego choćby najdrobniejszego spostrzeżenia. Łatwo tedy zrozumieć, wiele odkryć, nawet przypadkowych, marnieje niepowrotnie dla archeologji w tak smutnych warunkach.

Niepodobna nakoniec pominąć prośby, jaką p. E. Majewski wystosował do czytelników „Światowita“. Bo przecież wiele osób, nie zajmujących się archeologją, ani tworzeniem zbiorów, znajduje się w posiadaniu przedmiotów przedhistorycznych (nie monet, oręźów średniowiecznych, bo te należą do historycznej archeologji). Jednych wcale nawet nie ciekawi znaczenie naukowe zabytków, inni znowu wytwarzają sobie własny pogląd, częstokroć mylny, wreszcie niektórzy wiedzą, co posiadają, ale wiedzą to dla siebie. We wszystkich tych wypadkach nauka nie ma pożytku żadnego z pozostają-

cych w ukryciu przedmiotów. Udaje się tedy p. Majewski do tych ludzi z prośbą, ażeby nadesłali mu opis i fotografję takiego zabytku z zaznaczeniem miejsca, z którego pochodzi. Właściciel na swej uczynności nic nie traci, bo pozostanie i nadal przy swojej własności, ale archeologja przez „Światowita“ zyska wiadomość o odkryciu i notatkę, która będzie ważną wskazówką dla nauki nawet wtedy, gdyby okaz kiedyś zaginął lub uległ zniszczeniu. Prośbę tę p. Majewskiego (Warszawa, Złota 61.) polecamy najgoręcej naszym czytelnikom, bo tu przy odrobinie dobrej woli będzie pożytek dla nauki. *wi.*

NOTATKI. *Muzeum imienia Czapskich.* Miasto Kraków w tych dniach wzbogacone zostało nowem muzeum. Od dawna wiedziano, że ś. p. Emeryk hr. Hutten-Czapski (1828—1886) pozostawił po sobie piękne zbiory, zwłaszcza starych druków i monet polskich, i do użytku publicznego przeznaczyć je pragnął. Żona nieboszczyka Elżbieta z Mayendorfów podjęła się wprowadzenia w czyn pięknej myśli przedwcześnie zgasłego uczonego zbieracza. Kosztem jej wzniesiono obok pałacyku Czapskich przy ulicy Wolskiej w Krakowie, niewielki, ale fundamentalny i wytworny pawilon piętrowy, na którego frontonie wyryto napis: *Monumentis patriae naufragio ereptis.* Odpowiedniem urządzeniem, ułożeniem oraz inwentaryzacją zbiorów zajął się dyrektor Muzeum Narodowego Dr. Feliks Kopera; — dnia 16. maja b. r. w obecności kilkunastu zaledwie zaproszonych, odbyło się w cichości otwarcie nowego muzeum, które trzy razy w tygodniu w godzinach popołudniowych otwarte jest dla zwiedzających. Muzeum składa się z dwóch wielkich, jasnych i wybornie urządzonych sal. W sali parterowej mieści się główna część bibljoteki, zbiór sztychów, numizmatyka, oraz wiele innych dzieł sztuki i pamiątek przeważnie polskich. Tutaj mieści się przedewszystkiem bogaty zbiór książek polskich z XV., XVI i XVII. wieku. Część tego zbioru została już skatalogowaną przez p. Koperę, we wspaniale kosztem pni Czapskiej wydanem dziele p. t. „Spis druków z epoki Jagiellońskiej w zbiorze Emeryka hr. Hutten-Czapskiego“. Tom ten przez autora „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu ku uczczeniu jego pięciowiekowej cywilizacyjnej pracy“ poświęcony, obejmuje na 231 (prócz indeksu) stronicach *in quarto* — szczegółowy opis każdej książki tego działu, oraz reprodukcje rycin, począwszy od wydanych w roku 1475 w Krakowie *„Omnes libri beati Augustini Aurelii“.* Spotykamy tu wiele dzieł polskich, które dziś już powszechnie do białych kruków u nas należą. Dział rycin spisany jest w osobnym katalogu p. t. „Spis rycin przedstawiających portrety przeważnie polskich osobistości w zbiorze Emeryka hr. Hutten-Czapskiego w Krakowie“, dziele z rękopisu ś. p. właściciela jego również przez p. Koperę opublikowanem. Spotykamy tu kilka pięknych Norblinów, Chodowieckich, Falcków, Johnów, Oleszczyńskich i t. d. Wspaniale przedstawia się w odpowiednich ramach przesuwalnych oprawna ikonografja królów polskich. Znajduje się tu również piękny, wielki rysunek piórkiem Aleksandra Orłowskiego p. t. „Przed karczmą na wsi“ i kilka ciekawych miniatur, wśród których trzy nieznane podobizny Kościuszki.

W osobnej żelaznej szafie mieszczą się monety, wśród których znajdują się prawdziwe skarby numizmatyki polskiej. Zbiór skatalogował jeszcze osobiście ich właściciel w dziele francuskiem p. t. *„Catalogue de la collection de monnaies et medailles polonaises du comte E. H. C.“.* Petersburg i Kraków 1871—1891. Na szafie mieszczącej numizmatykę polską, rozwieszony jest piękny zbiór orderów i odznak honorowych, szczególniej polskich w liczbie 81. Tu znajduje się gwiazda *„Virtuti militari“* ks. Józefa Poniatowskiago, dalej rzadki owalny medal złoty z monogramem Stanisława Augusta i takim samym napisem. Prócz wspomnianych przedmiotów, oraz bibljoteki, w której nadto mieści się wiele rozmaitych, a cennych podręczników, znajdują się jeszcze w parterze gablotki, a w nich: zbiór pasów polskich, zbiór kamej, zbiór szkieł i porcelany polskiej, zbiór pieczęci i tłoków pieczętnych i cały szereg różnych polskich przeważnie pamiątek o wysokiej niekiedy historycznej i artystycznej wartości.

Na pierwszem piętrze mieści się druga nieuporządkowana jeszcze część bibljoteki, kilka zbroi polskich, zbiór polskich kafli, zbiór osobliwości zoologicznych, oraz wielka kolekcja odznak i tym podobnych pamiątek wolnomularskich z polskich lóż w Kamieńcu, Dubnie, Warszawie i t. p.

Muzeum pod każdym względem wspaniale jest urządzone, z parteru na pierwsze piętro prowadzą piękne schody marmurowe, w przedsionku umieszczony jest biust brązowy założyciela, a na każdym kroku znać umiejętną i pełną pietyzmu rękę dyrektora Kopery, który nie potrzebując tutaj walczyć na każdym kroku z brakiem funduszów odpowiednich, ale owszem wsparty szczodrością właścicielki, zarówno w urządzeniu całości, jak i w rozmieszczeniu, oraz inwentaryzacji tych cennych zbiorów, dowiódł raz jeszcze wielkiej swojej znajomości rzeczy i wytwornego smaku.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8